

W zaciszu przy kałuży

Marko Kravos

Przy świętojańskim kościele, za wysokim murem jest świat rodziny Birsów. To wspinały ogródek z grządkami sałaty, a przy murze wszędzie naokoło posadzona została winorośl. Jeszcze wielu na Świętym Janie¹ żyje dzięki warzywom i winu, które doskonale się udają w spokojnym zakątku pod Griżą. Griża to strome, wznoszące się nad kotliną zbocze, pokryte siateczką białych ogrodzeń. Zwieńczone jest skalnym grzebieniem, z którego tu i tam sterczy sosna. Sosny to właściwie początek łąki po drugiej stronie. Tam jest Kras. Tam mieszkają krowy z Padricz i Gropady, a Krystyna codziennie rano przynosi nam dwie miarki ich mleka.

Z drugiej strony, na południu, za trawiastą Szancą ciągnie się grzbiet Łowca. Tam skała jest szarobrazowa, a większą część góry pokrywa żółta glina. Już za czasów Austrii postanowiono, że na tym wzgórzu będzie się znajdował las Boszket, żeby panowie mieli gdzie pójść na spacer lub polowanie. Z tym lasem to ciągle są problemy. W czasie każdej wojny, a już zwłaszcza pierwszej i drugiej światowej, biedacy wycinali w nim drzewa. Teraz na porębach każdej zimy wybuchają pożary i w mgnieniu oka niszczą posadzone na nowo drzewka. Za to na wiosnę czarne pogorzelniska pierwsze okrywają się zielenią i jest to taka zieleń, że bardziej zielonej nie możecie sobie wyobrazić.

Po co piszę to wszystko o Świętym Janie? Niepotrzebnie, przecież chodzi mi o bajorko u Birsów. Dla obrazu takiej kałuży, której nie boi się nawet pięcioletnie dziecko, to zbyt szerokie ramy. A może i nie? W końcu wszystko to – góry, drzewa i pożary – moje oczy piją z kałuży, w której odzwierciedla się otaczający świat. Ale te obrazy na powierzchni nie zakryją prawdziwego życia, które jest w wodzie. Powierzchnia nieraz zadrga i wtedy wszystko inne znika.

A więc kałuża, a w niej żaby. I żabi skrzek, i kijanki na wiosnę – wszystko to, co się dzieje w żabim królestwie i co opisuje czytanka Alenki. Dwa albo trzy razy moja

¹ Święty Jan (słń. *Sveti Ivan*, wł. *San Giovanni*) – jedna z peryferyjnych dzielnic Triestu, tradycyjnie zamieszкана przez Słoweńców. Mieszka w niej również główny bohater opowiadania (wszystkie przypisy od tłumacza).

mama prawie postradała zmysły, bo mnie przez wiele godzin nie było nigdzie widać. Podobno mnie wołała, szukała, pytała się wszystkich naokoło i tak dalej, dopóki mnie nie odnaleźli przy kałuży. Byłem wpatrzony w ogród zoologiczny rozpościerający się przede mną.

Mama miała do mnie pretensje, a ja tylko na nią patrzyłem, jakby przybyła z innego świata.

„Jeszcze tylko trochę – prosiłem – tylko wyjdzie brązowa żabka, która się schowała pod witkami. Już pół godziny siedzi pod wodą. Zobaczysz, jaka jest ładna!”

Czekałem na swoją księżniczkę zaklętą w żabę. I mama cierpliwie poczekała, choć wcześniej przyszła bardzo zmartwiona.

Kiedy po raz drugi długo się nie pokazywałem, już łatwiej było jej mnie znaleźć. Za trzecim razem jeszcze łatwiej. A potem już się nie martwiła, bo wiedziała, że jestem w zaciszu przy kałuży.

Kiedyś mama, podchwytyjąc pomysł z czytanki, przyniosła do domu kijanki zagarnięte w słoik. Na oknie miały na oczach wszystkich zamienić się w żabki. Ale wkrótce z ojcem odnieśliśmy je z powrotem, bo nikt nie wiedział, czym je karmić. Potem znów siedziałem całymi dniami przy kałuży i obserwowałem swoje cudowne panny żabki, jak wyciągają swoje długie udka przy pływaniu, jak niesamowicie pięknie wyglądają, zawieszane w rozkroku na powierzchni.

Krótko mówiąc, zakochałem się. Na pewno delikatne żabie uda i ruchy, przy których jedwabiste kręgi rozchodzą się po wodzie, utkwiły w moich oczach i odtąd noszę je w sobie. Dlatego tak szybko ulegam kobiecym wdziękom. Co się odcisnie w sercu za młodu, już tam zostaje, jak mawia kuma Bernardka. Kiedy zauważę poruszające się w górę i w dół biodra, przeszywa mnie takie uczucie, jakbym został już pocałowany przez żabkę z mojego królestwa i stał się królewiczem. Dziewczyny-żabki są takie pociągające, takie miłe, że nie jestem nawet w stanie pomyśleć o niczym innym. Czuję się jak prawdziwa kijanka.

Gdyby jeszcze miały brązowozielonkawą cerę i zawsze trzymały się blisko wody, moje wieczne zakochanie na pewno znalazłoby kiedyś szczęśliwe zakończenie.

Muchy i robaki

Marko Kravos

Promień słońca przedostał się przez okiennice i biegnie ukośnie przez pokój. Co czuje promień, kiedy się znajdzie w obcym miejscu, między cieniami? Boi się? Czy go boli, kiedy pada na podłogę?

Światło ma ciało, którego nie można chwycić. Są w nim małe robaczki. Widzę je, jak się wznoszą i z powrotem ześlizgują na dół. Mama mówi, że to zwykły kurz, włókna z Bóg wie czego. A może jednak to są nasionka, nasionka światła. Słońce i gwiazdy też mają dzieci. Im rodzice są więksi, tym dzieci są mniejsze.

W półmroku pokoju, w którym muszę odpoczywać po południu, są jeszcze trzy albo cztery muszki. Tańczą, nie trzymając się żadnych reguł, ale bardzo uważają, żeby pozostać na swoim terenie – w tylko dla nich widocznym balonie na środku pokoju. To musi być kraina much. W jaki sposób muchy zaznaczają granice swojego niewidzialnego królestwa?

Włączam radio. Przy pomocy muzyki chciałbym nauczyć muchy znakomitej sztuczki: tańca do rytmu. A ja bym został treserem much. Pierwszym na świecie.

Wygląda na to, że muchy są zupełnie głuche. Ich akrobacje nie są ani trochę inne, kiedy zmieniam muzykę albo wystukuję marszowy rytm na stole. Jak mam im pokazać, co powinny zrobić, żeby występ się udał? – *Lecieć w równym szeregu!* – *Utworzyć na stole stokrotkę ze skrzydeł!* – *Niech jedna stanie na drugiej i na nią jeszcze jedna... i jeszcze jedna – hopla, musza wieża!*

Czasem muchy same wchodzą jedna drugiej na ramiona. A wieża z czterech, pięciu much to by było prawdziwe чудо. Ale mimo że dla nich nie byłoby w tym nic trudnego, wcale nie chcą wykonywać poleceń.

Co mucha wie o mnie? Czy któraś z nich jest umyślnie natrętna, kiedy z uporem siada na moim kolanie? Może chce mi opowiedzieć o swoich zmartwieniach? Jak się czuje mucha? Musi się strasznie bać, bo jest taka mała. Kiedy wyjdzie na dwór i rozpada się deszcz, to co z nią wtedy? Każda z tysiąca kropeł może na nią spaść. Jak w ogóle może przeżyć, kiedy ją uderzy kula spod nieba, która jest pięć razy większa od niej? Może kropla tylko ją otoczy i potem z pokorą leci, w kropli wśród kropeł, do dołu?

Czasem widzę motyla. Nie wytrzyma nawet większej kropli na plecach. I kończy w błocie.

Deszcz i bora. Dla motyli to tak, jakbym ja wpadł do ciemnej wody. Nawet nie umiem pływać. Bez wody też – sam, w ciemnym pustym miejscu nawet płakać bym się bał. Na samą myśl o tym mróz mi ścina serce.

Muchy na pewno mają swój język. Muchy w Słowenii mówią w naszym języku słoweńskim. Moja siostra Bogusia jest jeszcze mała, ale już dużo większa od much. A nie umie mówić. Może rozmawia – *bl-bl-bl* – z muchami?

Tak chciałbym rozmawiać ze zwierzętami! Z językiem słoweńskim daleko nie zajdziesz. Do Barkovlji, powiedzmy. Na placu Wielkim nad morzem już nikt cię nie zrozumie.

Jak to jest, że ludzie nie potrafią rozmawiać ze zwierzętami? Nawet ojciec, który opowiada, jak bardzo lubi zwierzęta i jak dobrze je rozumie. Mówi też, że człowiek może się wszystkiego nauczyć, jeśli dobrze się przyjrzy temu, co natura już wymyśliła. Samoloty latają, bo uczeni obserwowali ptaki. Śpiew my, ludzie, też wzięliśmy od ptaków...

Motyle rozmawiają ze sobą, po prostu używając kolorów na skrzydłach, bez żadnego dźwięku. Moja mama też umie dużo powiedzieć, choć zaciska usta i milczy. Wtedy kiedy próbuje zapanować nad gniewem i staje się błąda jak ściana. Jeśli przypadkiem rozniewa się przeze mnie, czuję, jak mnie od tego milczenia ściska w sercu. Czasem coś zaprze jej tylko dech w piersiach. Wtedy też milczy, ale na jej twarz wstępują, nie wiem jak, wszystkie kolory naraz. Trzęsie się i zaczyna się pocić. Na przykład kiedy pod jej nosem znajdzie się gąsienica, kiedy zobaczy karalucha w zlewie albo pod liściem oleandra odkryje olbrzymiego konika polnego! Przerażają mamę takie zupełnie zwyczajne zwierzęta. Mnie nie wydają się ani obrzydliwe, ani niebezpieczne. Biedne robaczki. W każdym razie to nie wypada, żeby coś tak małego wyprowadzało moją mamę z równowagi.

Za to świetnie się bawię, kiedy gdzieś w ogrodzie zacznie się wydzierać siostra Bogusia. Przysiada i krzyczy na całe gardło. Nie tylko z powodu gąsienicy, złotawca czy konika polnego; głowę traci już przy większej mrówce, gliście lub bujającym się ogonie, wyrwanym jaszczurce przez kota.

Złośliwie mówię Bogusi, żeby zamknęła oczy, to jej dam do ręki coś ładnego, a potem...

Nie do wiary, jak się nie może opanować, przyzwyczaić... Przecież w Afryce nawet jedzą szarańczę i robaki, nie?! Ona też musi się do wszystkiego przyzwyczaić, koniec i kropka!

Co innego, jeśli cię dopadną osy. Nie wolno ich drażnić, choć każdego roku mają gniazdo w rurze naszej pergoli. Jeśli któraś cię uządli, pomaga cebula i zimny okład.

Alenkę użądlił skorpion, który się schował w kieszeni jej zimowego płaszcza. Dali jej wódkę na ranę, a na czoło szmatkę namoczoną w occie. Tego dnia nie poszła nawet do szkoły.

Niewiele brakowało, a ciocia Joża umarłaby z powodu użądlenia zwykłej pszczoły – a potem mówią, że na wsi wszyscy są strasznie odporni. Trochę za bardzo się przechwalają tą swoją wytrzymałością. Tak jakbyśmy my w mieście byli z porcelany. Kiedy, powiedzmy, naszą sąsiadkę Andrejinę użądlił szerszeń, w ogóle nie robiła z tego wielkiej sprawy. A mówią, że szerszeń ma tyle jadu, co siedem os. Silna kobieta z tej Andrejiny! Traci panowanie nad sobą i krzyczy tylko wtedy, gdy jej Mario przytoczy się do domu trochę dziabnięty.

Na Świętym Janie mamy stworzenia, które nawet naszemu ojcu działają na nerwy. Również on, odporny na pluskwy, pchły i wszy włoskich koszar i więzień, ma swoich ciemżycieli. To świętojańskie komary. Ciągną do niego, jakby się wybierały na wesele w Kanie Galilejskiej – tak by powiedziała Alojzija Brana, która jest gruba jak becзка i od świtu do zmierzchu pałęta się po kościele.

Dlatego zanim się zrobi ciemno, my, dzieci, idziemy do pokoju rodziców na polowanie. Uzbrojeni jesteśmy w szczególną broń. Do kijka przymocowana jest pokrywka od pasty do butów, a w niej łyżka oleju. Tym gasidłem trzeba dotknąć komara na suficie, tak żeby oblepił go olej. Nic łatwiejszego i nic zabawniejszego.

Ojciec nam kiedyś dał po lirze za każdego komara. Następnego wieczoru przy pomocy lampy przywabiliśmy ich całą chmarę. Obliczyliśmy, że tylko w ten sposób zarobimy na trzy gałki lodów. Potem ojciec nie chciał nam już płacić za komary. No cóż, tym gorzej dla niego. Tej nocy w dużym pokoju słychać było klaskanie, odgłosy uderzeń, grzyzanie zębami i przeklinanie.

Rano po tej wojennej zawierusze pozostały na ścianach i pościeli krwawe plamy. My byśmy to załatwili na czysto. Tak to jest, kiedy się za komary zabierają dorośli, którzy nie mają wyczucia i tylko się wściekają.

To o wściekłości rzuciła rano mama. Niesłusznie. Ona nie ma słodkiej krwi ani tak wyczulonego słuchu jak ojciec. Dlatego nie może wiedzieć, jak się czuje w letnią noc człowiek, którego komary zbudzą swoim bzyzieniem, żeby im dotrzymywał towarzysztwa, kiedy będą na nim biesiadować. |

Tłumaczenie z języka słoweńskiego: **Paweł Penszko**